

PLAYBOY

ISSN 1155-3777

EDYCJA POLSKA

Nr 8 (33) SIERPIEŃ 1995
4,95 zł (49 500zł)

MEL GIBSON

zabójczy wywiad

potęga szczerości
JENNIFER RUSH

dziewiczy miliarder
RICHARD BRANSON

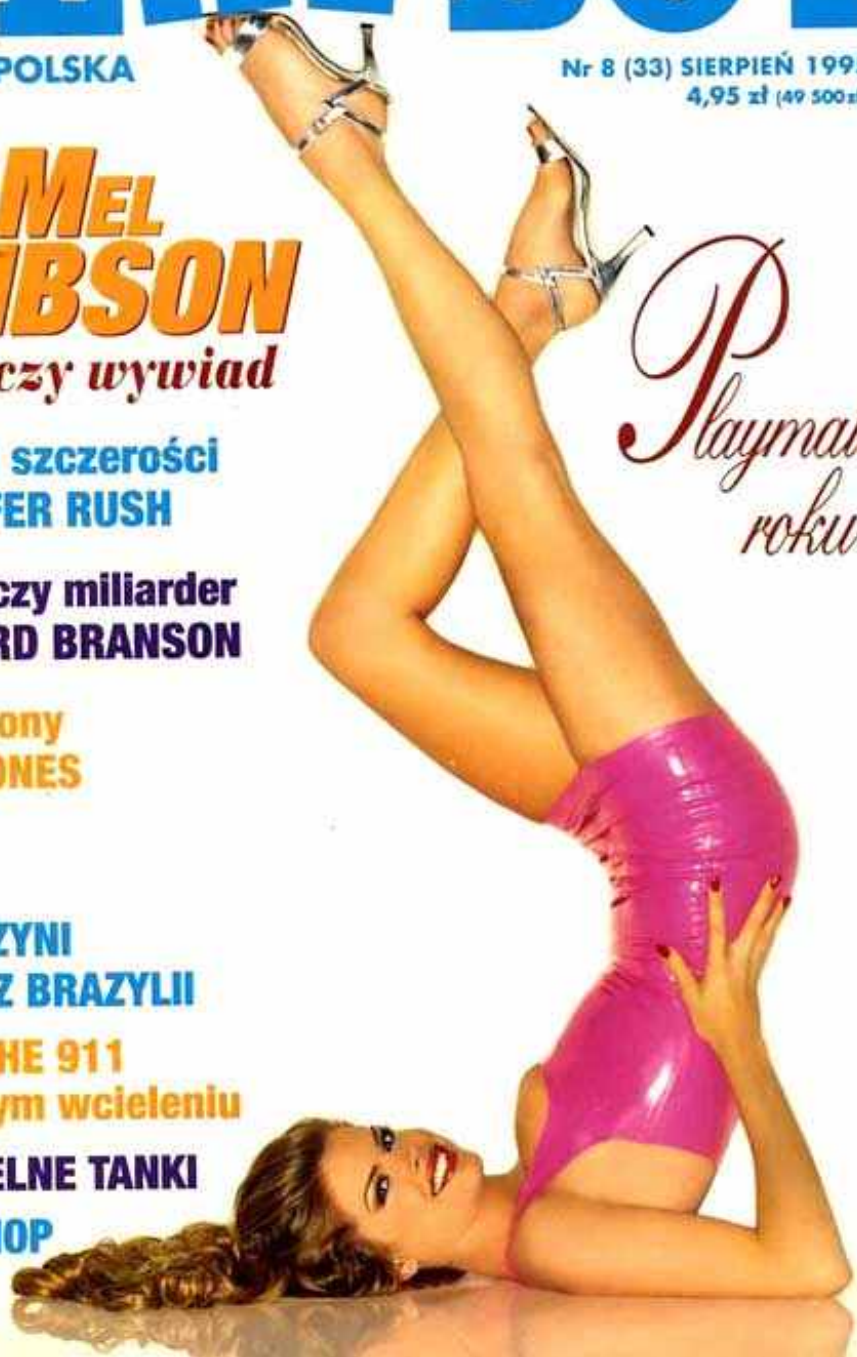
odrodzony
TOM JONES
I INNI

oraz
MISTRZYNI
ŻABKI Z BRAZYLII

PORSCHE 911
w płątym wcieleniu

KOŚCIELNE TANKI
I HELIPOP

Playmate
roku



SYBER



**Bohaterowie przestrzeni
kosmicznej przez dziesięć dni
zmagali się z ziemskim
żywiółem.**

IADDA

Tekst:

Jacek Pańkiewicz

Zdjęcia:

Jacek Pańkiewicz

i Eduard Zigajłow

Syberia. Już samo to słowo budzi emocje, przywołuje obrazy silnie działające na wyobraźnię. A jednak w mającej biblijny wymiar tajdze, w której uświadamiamy sobie naszą małość, panuje wielki spokój. Przyroda jest dzika. Na bezkresnym lazurowym niebie orły zataczają szerokie kręgi, na brzegu rzeki dostrzec można liczne, świeże ślady niedźwiedzia, niekwestionowanego króla bezmiernych, nie tkniętych ludzką stopą obszarów.

Od hałasów i gorączkowej krzątaniny cywilizowanego świata dzieli nas setki kilometrów. Ta niezwykła podróż zaczęła się w Turze, głównym mieście Ewenkijskiego Obwodu Autonomicznego w Kraju Krasnodarskim. Kilka miesięcy temu mój przyjaciel Andriej Czernow, dyrektor Tura Aviation Enterprise, zobowiązał się znaleźć dla nas jeden z najbardziej dzikich zakątków Syberii.

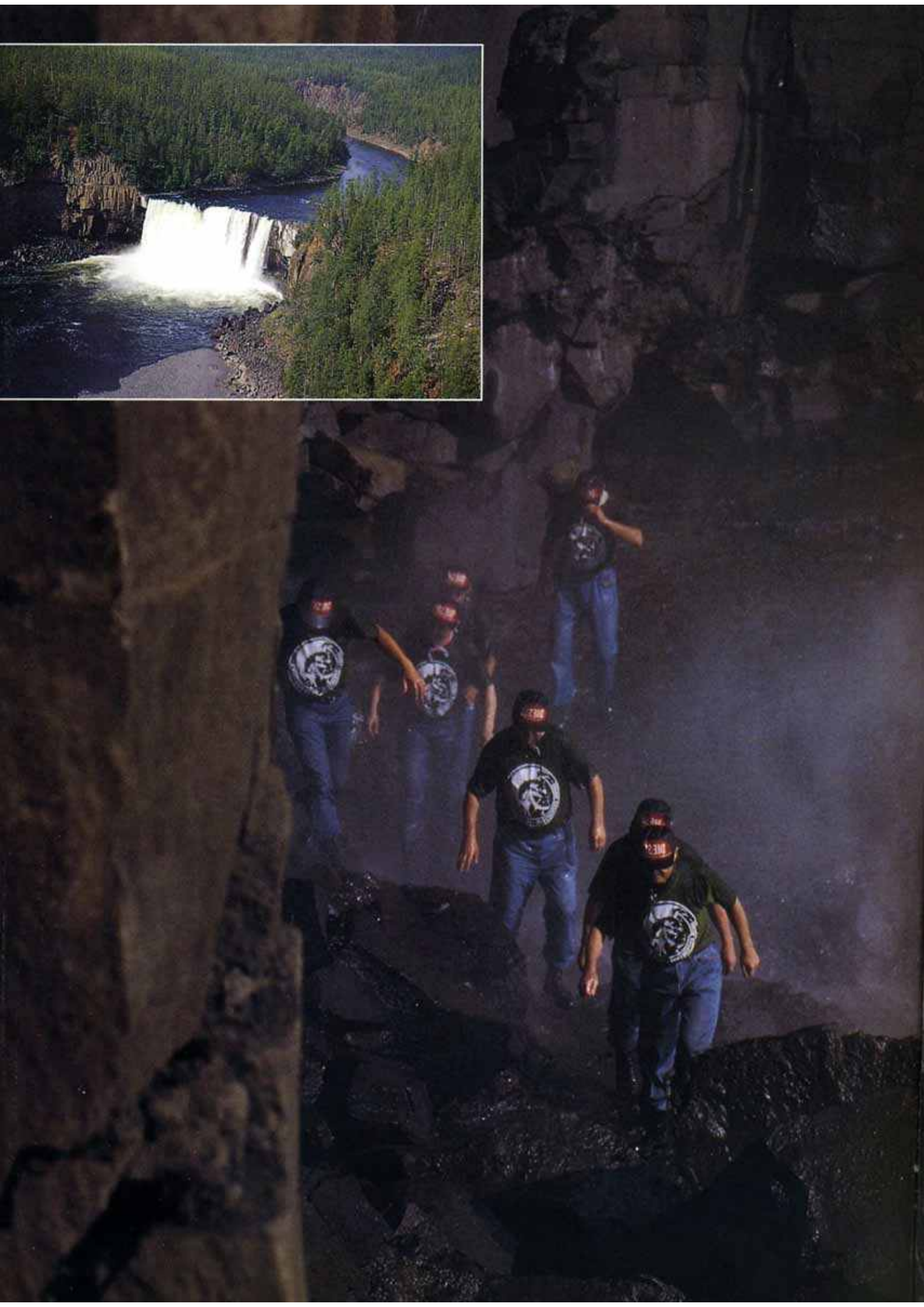
Pękaty helikopter dowiózł nas na brzeg rzeki Tajmyra. Znaleźliśmy się w świecie przywodzącym na myśl pierwsze dni stworzenia, w którym będziemy zdani wyłącznie na własne siły. Zabieramy się

do budowania tratw z modrzewiowych pni. Popłyniemy nimi w dół rzeki. Po kilku godzinach ciężkiej pracy gotowe tratwy spuszczaamy na wodę. Rzeka wiezie nas w nieznaną. Chwilami prąd unosi nas z niezłą prędkością sześciu kilometrów na godzinę, potem woda się uspokaja, a przeciwny wiatr zmusza nas do holowania przez kilka godzin naszych prowizorycznych łodzi. Przypominamy dawnych burlaków, którzy nadludzkim wysiłkiem ciągnęli pod prąd statki na Woldze.

Dość niecodziennych mam w tej wyprawie towarzyszy. Są to ludzie, którzy przebywając w przestrzeni kosmicznej mogli stamtąd zobaczyć jak bardzo została naruszona równowaga w przyrodzie i jakie to niesie zagrożenia. General Władimir Dżanibekow, numer jeden wśród rosyjskich kosmonautów, jedyny, który ma za sobą pięć wypraw, powiedział mi kiedyś: *Ze stacji orbitalnej Ziemia wyglądała jak wspaniały klejnot, ale silne wrazenie wywarły też na mnie ślady szkodliwej działalności człowieka.*

Nasz zespół, to: Niemiec Sigmund Jahn, Czech Vladimír Remek, Austriak Clemens Lothaller, Ukraińiec Anatolij Arzebarskij, Rosjanin Gienadij Manakow i syberyjski przedsiębiorca Siergiej Zyrianow. Z zachwytem przyglądamy się bujnej roślinności. Tutaj przyroda przez krótki, letni okres żyje niezwykle intensywnie. Napelnia nas to poczuciem nieograniczonej wolności i szczęścia.

Zmieniamy się przy sterze; między załogami obydwu tratw trwa ciche współzawodnictwo. Coraz bliższy staje się groźny huk bystrza, kontrastujący ze spokojem krajobrazu. Prąd przyspiesza, woda jest spieniona, głuchy pomruk rzeki nasila się aż do grzmotu. Między falami szukamy w miarę bezpiecznej drogi. Przejście przez bystrze stwarza sytuacje, które nie zawsze można kontrolować. Ku naszemu wielkiemu zadowoleniu szczęśliwie przepłynęliśmy sto metrów wzburzonych wód. Niestety, naszych przyjaciół na drugiej tratwie zablokowały kamienie i omal nie doszło do tragedii. Niewiele brakowało, żeby ważąca ponad tonę tratwa



przygniotła Vladimira, który wpadł do wody. Dzięki szybkiej i sprawnej akcji kolegów skończyło się to na wielkim strachu. Rzeka nauczyła nas jednak, że stale trzeba być czujnym.

Pod wieczór przybijamy do brzegu i urządzamy obozowisko. Rzeka wypruła z nas żyły, ale potem okazała się szczodra. Siergiej i Sigmund w ciągu pół godziny nałowili dwa wiadra lipieni, wymienionych ryb lososiovatych. Od wielu dni ryby są naszym podstawowym pożywieniem. Przyrządzamy je na różne sposoby: pieczemy, robimy z nich zupe, a nawet jemy na surowo.

Gienadij, jak przystało na prawdziwego Rosjanina, wyciąga butelkę wódki i wygłasza toast: *Za tych, którzy są na stacji orbitalnej Mir. Oby wrócili szczęśliwie na Ziemię!* Laboratorium kosmiczne jest próbą umieszczenia w przestrzeni kosmicznej domu, w którym człowiek mógłby żyć, przeprowadzać eksperymenty, a nawet tworzyć. Jednakże po ośmiu latach „służby” aparatura Miru zaczyna szwankować. Po ostatniej wymianie wyposażenia Gienadij nie ukrywał radości, że udało mu się cało wrócić na Ziemię. *Stacja tym razem wytrzymała, ale jak długo to jeszcze potrwa?* – zastanawiał się z niepokojem. Tak więc drugi toast wzniósł za kolegów, którzy wyruszą na następną wyprawę: *Niech Bóg ma ich w swojej opiece!*

Siedzimy przy ognisku, kosmonauci opowiadają o chwilach napięcia przeżytych na orbicie, o małych awariach, a także o nieszczęśliwych wypadkach. Podbój przestrzeni kosmicznej oznacza bowiem nie tylko laury i oklaski, lecz także łzy i krew. Mimo najróżniejszych kontroli technicznych i wszechstronnego przygotowania człowieka, nie można wyeliminować ryzyka.

Obserwuję moich towarzyszy, generałów i pułkowników – silną osobowość łączą z głęboko ludzkimi uczuciami i skromnością; jestem naprawdę bardzo zadowolony, że biorą udział w tej wyprawie, którą przygotowywałem przez cały rok we współpracy z moskiewską telewizją MTK i z Moskiewskim Bankiem Miejskim. Przed wyjazdem z Moskwy wręczono mi na Kremlu list z życzeniami sukcesów od prezydenta Jelcyna. Tego samego popołudnia metropolita Pitirim, wysoki dostojnik Kościoła prawosławnego, udzielił nam swego błogosławieństwa.

Znajdujemy się w pobliżu arktycznego koła polarnego, więc choć zbliża się północ, nie zapada zupełna ciemność. Spimy pod gołym niebem, pod mrugającymi nieśmiało gwiazdami, na mięk-

kim i wonnym postaniu z mchu.

W czasie naszej wyprawy natykamy się nieraz na stadka łosi lub renów, ale kiedy z wiatrem dochodzi do nich nasz zapach, zwierzęta oddalają się wolnym truchtem, majestatyczne i pełne godności. Tutaj człowiek nie jest jeszcze ich wrogiem. Latem w tajdze dokuczliwe są tylko chmary muszek. Nieskuteczny okazuje się środek odstraszający owady, którego używali Amerykanie w Wietnamie. Tutaj pomaga tylko silnie działający, nawet żrący, miejscowy produkt „Deta”.

Przedostatniego dnia docieramy do wioski Burnyj zamieszkałej przez starowierców – członków sekty, która w 1653 roku odrzuciła reformę przeprowadzoną w Kościele prawosławnym. Starowiercy uciekli w głąb Syberii i żyją jak pustelnicy, kurczowo trzymając się przeszłości i religijnej tradycji. Ci ludzie, dochowujący wierności dawnym wartościom, są naturalni, autentyczni, odznaczają się wielką dobrocią i hartem ducha. Ich twarze i oczy są uśmiechnięte, spokojne; nawet noworodki nigdy nie płaczą. Religia zakazuje im palenia papierosów i picia alkoholu. Żywią ich tajga i rzeka. Czasem tylko wymieniają skóry soboli na sól, cukier i narzędzia.

Nasza przygoda poza czasem trwała dziesięć dni. Minęło niebezpieczeństwo, znikło zmęczenie. Wsiadamy do helikoptera kryjąc w sercu nadzieję, że głupota i chciwość człowieka nie zamienią tego ziemskiego raję w jałową pustynię.

